Nr 19. (porz. 151). Kraków, sobota d. 10. maja 1902. Rok V.

OBRONA LUDU

tygodnik stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

Wychodzi co sobotę.
Kosztuje rocznie 4 kor
półrocznie 2 kor.
Numer pojedynczy kosztuje 20 hal.
Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Biuro bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratorów „Obrony Ludu“ jest otwarte codziennie rano i popołudniu. Kraków, ul. Pijarska 2.

Redakcya i administracya znajduje się w Krakowie ul. Pijarska l. 2.

Ogłoszenia po 10 h. od wiersza półszpaltowego.
Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem: Administracya „Obrony ludu“, Kraków, ul. Pijarska l. 2.

PIJAŃSTWO JEST ŹRÓDŁEM ZBRODNI I NĘDZY!

POCHWALONY JEZUS CHRYSTUS!

Oszustwo polityczne.

W dniu 19 kwietnia b. r. tak zwane »centrum« Koła pols. w Parlamencie, wydało sobie patent, co ono warte i z jaką obłudą chce uprawiać swoją lokajsko-stańczykowską politykę! Daremne krętactwa, jakiemi się usiłują wobec ludu posłowie tego osławionego »centrum«, ze swego fatalnego, a z całą świadomością popełnionego kroku oczyścić i usprawiedliwić. To czyn zbyt jaskrawy i zbyt także lekceważący interesa ludu. Zaraz z początku utworzenia się tego »centrum« w Kole pols. zaznaczyliśmy, że jest to dziwoląg i płód poroniony, okrywający się na zewnątrz dla bałamucenia włościan chłopską sukmaną, zaś zewnątrz mający »duszę« na wskróś stańczykowską! Hola nasi panowie posłowie, grubo się mylicie, sądząc, że lud tak łatwo da się wywieść w pole! Dzisiaj nie pomoże blaga, bo włościanie nie zważają ani na obłudne słowa, ani na chłopską sukmanę, którą lada nicpoń lub lada »ciarach« wdziać na swój grzbiet może, ale lud chce czynów i na nie patrzy. A jakimiż to czynami popisuje się we Wiedniu to »centrum«, składające się niby z posłów włościańskich? Następujący fakt najlepiej objaśni postępowanie tego »centrum«. W dniu 29 kwietnia oświadczył w Izbie minister skarbu, że on się nie zgadza na zniesienie teraz myt, chociaż to zniesienie przed rokiem Parlament uchwalił jednogłośnie, ale zażądał, aby mu Parlament zezwolił pobierać dochody z myt do stycznia 1903 r., w przeciwnym razie zagroził minister podaniem się do dymisyi. Dochód zaś z myt w Austryi wynosi 2 miliony koron,

z czego przypada na Galicyę przeszło sześćset tysięcy koron (600.000). Podatek ten najwięcej doskwiera i dokucza ludowi. Jeżeli się zaś zważy, że każdy kandydat włościański na posła solennie przyrzekł starać się o zniesienie tego ciężaru, jeżeli się zważy, że prawie każdy poseł włościański, przyszedłszy do Parlamentu stawiał wniosek o zniesienie myt i każdy z tych posłów przy sprawozdaniu poselskiem chwalił się, że się usilnie starał o zniesienie myt, a p. Szajer przed 3-ma laty na zgromadzeniu w Jarosławiu z całego gardła krzyczał: »bracia chłopi, już myt płacić nie będziecie, bo już są zniesione, a wiecie kto je zniósł? ja je zniosłem! Zdawałoby się, że przynajmniej wszyscy posłowie włościańscy podniosą głośny protest przeciwko zachciankom p. ministra, i z całą odwagą wystąpią w obronie ludu, jak to należało uczynić posłom włościańskim. Tymczasem cóż się stało? Oto całe »centrum«, złożone »niby« z posłów ludowych, uderzyło czołem przed wolą ministra i głosowało za utrzymaniem myt!!! To oczywista zdrada ludu, to proste oszustwo! Na co się zdadzą narzekania na ucisk ludu przez rząd, i na nieuwzględnianie przez niego interesów ludu? Taką znakomitą sposobność mieli posłowie ludowi dać wyraz swego niezadowolenia z postępowania obecnego rządu względem ludu, i tak ją nikczemnie zaprzepaścili! Czyż ten rząd nie ma racyi, że sobie takich przedstawicieli lekceważy! Tak się spisało to »centrum« Koła pols., do którego należą: Fijak, Opydo, Potoczek, Szajer, Wilk, Wojtyga i inni, o których nawet szkoda wspominać. Odtąd wara się temu »centrum« nazywać włościańskiem, niech się nie stroi w cudze pióra, niech się nie wstydzi swego właściwego miana, bo jeśli to »centrum« jest »lokajsko-pańskie«, niech tego »herbu« publicznie używa! Wprawdzie ci posłowie starają się za pośrednictwem »Głosu Narodu« ze swego haniebnego czynu »sianem« wykręcić, że oni to zrobili za jakieś »obiecanki cacanki« pana ministra, ale na takie plewy żaden wróbel się nie złapie, a cóż dopiero powiedzieć o wyborcach. Co oni o was myślą, to się dowiecie »szanowni przedstawiciele« ludu na sprawozdaniach poselskich. Już oni wam dadzą porządną wyćwikę i dosadną nauczkę, że was posłali do Wiednia nie na branie dyet, lizanie łap ministeryalnych i wstrętnego lokajstwa różnym Ekscelencyom, ale dla pilnowania spraw i interesów ludu!

Z żalem i goryczą piszemy te gorzkie, a niestety prawdziwe słowa, które sobie posłowie włościańscy w »pańsko-lokajskiem« »centntrum« w Wiedniu dobrze rozważą!

Z Komitetu włościańskiego powiatu krakowskiego.

Kalwaryjscy murzyni.

Niemal z każdego zakątka ziemi czytamy o nędzy to włościan, to różnych innych stanów, ale o nas stolarzach w Kalwaryi nikt nic nie wspo-

mina. Sądziłby kto, że jest nam dobrze. Ja jednak ośmielam się cośkolwiek napisać o naszej biedzie. Majstrów stolarskich w Kalwaryi i w okolicznych wioskach jest przeszło 80. Każdy taki majster ma przeciętnie 4 uczniów, jednego lub dwóch czeladników, a są też wypadki, że niektórzy mają 10 uczniów jednego albo dwóch czeladników, lub też sami uczniowie robią. Uczniowie bywają przyjmowani od 14 roku i to na lat 3, 4 lub 5, stosownie do zamożności rodziców. Uczeń zmuszony jest wstawać o 4 godzinie rano i pracować bez przerwy południowej do godziny 8 wieczór. Po godzinie 8 rozpoczyna się praca na tak zwany „fajerant", aby dla siebie kilka centów zarobił i tak pracuje niekiedy do godziny 12 w nocy. Przy tak wytężającej pracy prawie co 4-ty uczeń jest albo garbaty albo ma nogi wykrzywione w X. Terminatorzy, którzy są u takich majstrów, co posiadają kawałek gruntu, muszą przez pierwszy rok bydło paść, różne posługi domowe pełnić i w roli pracować a potem przy warsztacie. Czeladnicy pracują również taką liczbę godzin, co i chłopcy. Położenie ich jest także opłakane. Czeladnik z początku zarabia tygodniowo 1 złr., wikt i mieszkanie. Później stopniowo dochodzi do 2 złr. 50 ct. Mimo takiej nędzy nie są zwolennikami socyalizmu. Majstrowie czyli raczej słudzy żydowscy pracują na równi z uczniami. Gdy majster zaczyna być samodzielnym, zwykle mu brak funduszów, więc idzie do żyda po zaliczkę, czyli tak zwany zadatek na robotę, którą tenże obstalowuje. Kto się zaś raz zawikła w interesa ze żydem, ten się już, póki żyje, z jego lichwiarskich uścisków nie wydobędzie!

Przy pierwszem oddaniu wyrobów żyd grzeczny, ale im majster głębiej w kieszeń żyda wchodzi, ten staje się tyranem nieszczęśliwego majstra. Gdy zgodzi n. p. szafy po 12 złr. sztukę, przy oddawaniu roboty wyszukuje żyd istniejące i nieistniejące błędy, tak że stolarz zmuszony szafy dać po 10 złr., nieraz i taniej. Przy wypłacie żyd strąca część na umorzenie zaliczki, resztę daje w gotówce. Wśród takich stosunków majster prawie nigdy dźwignąć się nie może i jest skutkiem wyzysku jego pracy niewolnikiem żyda. Ktoby sądził, że przesadzam, niech zechce przeglądnąć akta w sądach, jak żydzi trapią i rujnują stolarzy, a szczególniej Jakób Natowicz. Żyd mówi stolarzowi, że są kiepskie czasy, że jemu źle płacą za wyroby. Ale ciekawy jestem, za co pewien żyd, handlarz meblami kalwaryjskiemi, kupił sobie kamienicę przy ulicy Szpitalnej w Krakowie i ma więcej majątku niż wszyscy stolarze w Kalwaryi. Po ojcu nic nie dostał, bo ten był biednym handełesem. Wprawdzie ten jeszcze obchodzi się ze stolarzami oględniej, ale zawsze z żydowska, po lichwiarsku. Najgorsza i największa pijawka, to Jakób Natowicz, co ma sklep korzenny w Kalwaryi. Ten zmusza stolarzy brać towary u siebie za zamiówione przez niego meble. Biada majstrowi, który wpadnie w jego ręce!

Dawniej można było desek nabyć taniej, dopóki żydzi nie zakupili lasów. Obecnie bez żyda trudno kupić desek, gdyż oni tylko mają składy desek, za które drą niemiłosiernie, a meble chcą nabywać i nabywają za bezcen, bo mają stolarzy w kieszeni. Wprawdzie zawiązało się w Kalwaryi „Towarzystwo stolarzy", lecz wielu majstrów z powodu, że są żydom dłużni, do towarzystwa należeć nie chcą, bo się żydów boją.

Co za straszny los tych biedaków! Pracują dziennie 15 i więcej godzin, prawie każda trocina z pod ich hebla przesiąkła jest kroplami ich potu, a zarabiają zaledwie na nędzne wyżywienie. Za to jednak żydzi się panoszą. Tutaj powinien inspektor przemysłowy wglądnąć w tę sprawę,

zająć się losem tych „białych murzynów“, powinien zrobić odpowiednie przedstawienie Wydziałowi krajowemu, a ten powinien udzielić jakich zasiłków i pożyczki bezprocentowej. Tyle się mówi o przemyśle krajowym, a dla jego dźwignięcia prawie się nic nie robi. Są pieniądze dla śpiewaków, możeby się znalazły i dla „murzynów kalwaryjskich“.

PORADA PRAWNA.

(O procesie cywilnym).

X. Dowody. Fakty przez stronę w procesie przywiedzione, a przez przeciwnika niezaprzeczone, nie potrzebują dowodu. Tak samo fakty notorycznie, czyli powszechnie znane i takie, za istnieniem których przemawia domniemanie z ustawy, że istnieją. Zresztą Sąd może według swego swobodnego przekonania ocenić, czy jakie twierdzenie strony należy uważać za prawdziwe, lub przeciwnie, gdyby żadnej nie dała odpowiedzi, sam rozstrzygnie.

Na które fakta sporne dopuszczonym być może dowód i jaki, rozstrzyga Sąd uchwałą. Dowody są następujące: 1) z dokumentów, publiczne, tj. przez władzę, notaryusza itp. wystawione; prywatne i to takie, które przez ich wystawcę zostały podpisane, o ile nieprawdziwość poświadczonego faktu nie zostanie przez stronę przeciwną udowodnioną; 2) dowód ze świadków i znawców; 3) dowód z oględzin sądowych, wreszcie 4) dowód z przesłuchania stron. Zwraca się uwagę, że przy przeprowadzeniu tych dowodów wolno stronom zadawać, na zezwolenie Sądu, stosowne pytania świadkom i znawcom, jednak nie wolno przerywać temu, kto mówi i dopiero, gdy skończy zeznania, zażądać wyjaśnienia, lub swoje powiedzieć.

Wyroki. Są następujące główne ich rodzaje: 1) wyrok na zasadzie zrzeczenia się, tj. jeżeli powód podczas rozprawy swego roszczenia się zrzeknie; 2) wyrok z uznania, jeżeli pozwany uzna w całości lub w części roszczenia się zrzeknie; 3) wyrok zaoczny, jeżeli powód lub pozwany na rozprawie się nie zjawi, a przeciwnik stawający zażąda wyroku, w szczególności pozwany na oddalenie powodu z żądaniem skargi, a powód na zasądzenie pozwanego w myśl żądania skargi; 4) wyrok kontradyktoryczny, czyli rozstrzygający sprawę sporną po przeprowadzeniu rozprawy spornej. Prócz tych rodzajów wyroków są jeszcze inne, jak 5) wyrok częściowy, który może zapaść, jeżeli pojedyncze zeznania staną się już niespornemi wskutek wyraźnego uznania roszczenia przez pozwanego, lub w przypadku wyniesienia skargi wzajemnej, jeżeli skarga lub skarga wzajemna dojrzała już do rozstrzygnienia, wreszcie, jeżeli pozwany w obronie swej podniósł pretensyę wzajemną, nie będącą w związku prawnym z pretensyą skargi; 6) wyrok wpadkowy, rozstrzygający jedynie z tytułu roszczenia, stosunku prawnego lub prawa.

Po zamknięciu rozprawy ogłasza Sąd wyrok w całej osno-

wie, z pobudkami rozstrzygnienia w krótkości, a doręcza w 8 dni po ogłoszeniu stronom z całkowitemi pobudkami. Jeżeli wyrok nie może zapaść zaraz po rozprawie z powodu braku jakiegoś dowodu itp., winien być wydanym na piśmie w ciągu dni 8.

Każdy wyrok na piśmie zawiera: 1) wymienienie Sądu i nazwiska Sędziów, 2) wymienienie stron według ich nazwisk, zajęcia, zamieszkania, a także ich pełnomocników, 3) osnowę, że powód zostaje z żądaniem skargi oddalonym, pozwany winien jest powodowi kwotę...., w dniach 14 zapłacić, parcelę gruntową l. kat.... w posiadanie oddać itp. 4) stan faktyczny, zgodny z stanem sprawy w protokóle rozprawy, i 5) pobudki, czyli powody rozstrzygnienia.

POŻARY I ZGLISZCZA

POWIEŚĆ

NA TLE POWSTANIA STYCZNIOWEGO.

(Ciąg dalszy).

Piosenka jego trwała jedno lato i umilkła, a on sam z moskiewską kulą w piersi spał, jak tego pragnął, we własnej ziemi — szczęśliwy, że nie przeżył ostatniego boju!

Opadły liście po borach i sadach, po wsiach i miasteczkach, osypały też różnobarwną sukienką cmentarzyk stary, gdzie w jeden dół złożono zwłoki Kazimierza i żony, — Nie było nikogo na pogrzebie; ksiądz naznaczył grób sosnowym krzyżykiem, co w kilka miesięcy, zczerniały od wilgoci, pochylił się już ku ziemi.

Chłopak sierota nie znajdzie go po latach, gdy się pomodlić zechce.

Sterdyń stał pustką. Wnet po aresztowaniu Świdy, Czaplic wyjechał z siostrą za granicę, jak twierdził — i wrócił w adwencie sam. Dwór huczał życiem, błyszczał bogactwem — pałac tylko stał niemy, ponury — i po salonach rozlegał się grobowem echem krok jednego człowieka. Jak potępieniec snuł się po nim Czaplic.

Czasami porywał się gorączkowo do pracy, lub książki, lecz wnet opadał fikcyjny zapał, wracała martwota. Godzinami siadywał w fotelu, zapatrzony w próżnię, lub chodził z kąta w kąt, trapiony wewnętrznym niepokojem, nieodzywając się do nikogo. Głucha cisza była mu towarzystwem.

Nie żałował straconej opinii, znajomych, sąsiadów, dawnych stosunków, nimbu, który go otaczał niegdyś; samotność w domu była mu najcięższą do zniesienia. Dawniej napełniał ją czarem dźwięczny głos Władki, dźwięki jej fortepianu lub elastyczny, lekki krok. Nie była wesołą, żywą, swawolną, a jednak nią jedną żył dawniej Sterdyń — a teraz?...

Teraz było to więzienie — złote, piękne, a zimne bez duszy W ogrodzie pomarzły jej kwiatki, po alejach opadłe liście przysłały ślad jej stóp, w jej mieszkaniu tak uroczem niegdyś panowała wilgoć i pył osiadał na rzeźbionych sprzętach. I przyznał w duchu

Czaplic, że jej jednej żałował ze wszystkiego, co stracił, jej jednej brak mu było okropnie — za nią tęsknił, jej pożądał.

Mijały tygodnie, miesiące — nadeszła zima. Czaplic czegoś czekał, spodziewał się, jakaś myśl utrzymywała mu życie, łagodziła chwilami samotność. Aż wreszcie pewnego grudniowego wieczora przyszedł doń list z gubernialnego miasta z ważną wieścią.

Bure oczy zdrajcy pojaśniały złośliwym tryumfem. Odczytał list raz i drugi — nie był syt nowiny. Wieść to była radosna dla niego; przed dwoma tygodniami skończył się proces Aleksandra Świdy: powstaniec poszedł, skąd się nigdy nie wraca, poszedł do kopalń miedzi na Ural.

Zapłacił Czaplicowi za to, że śmiał kochać Władkę.

Pan Dominik wstał, rozłożył na biórku wielką kartę Rosyi, pochylił się nad nią i kreślić począł czerwonym ołówkiem długą linię na wschód. Linia szła wśród śnieżnych pustyń, przebiegała wilgotne turmy, smrodliwe etapy, okropne szpitale. Po tej drodze czatowały na więźnia, pędzonego piechotą, mrozy i choroby, wycieńczenie i gorączka, czatowali strażnicy i szpitalni dozorcy, czyhały wszystkie nędze i niedole! Któż to przebędzie? Dziesiąty może — dziewięciu legnie!

Za czerwoną linijką szły iskrzące, złe oczy Caplica, jakby wypatrywał i odgadnąć chciał miejsce, gdzie ofiara jego padnie, by nie powstać. Aż wreszcie kreska dobiegła Uralu.

Czaplic się wyprostował, złowieszczy uśmiech skrzywił chudą twarz, ostatniem wejrzeniem z góry objął kartę.

Nie wyciągnie już ręki Świda po tę, której on pożądał — nie zobaczy jej więcej, nie przemówi, nie spotka. Między nimi wróg potężny położył otchłań! Tryumfujący uśmiech Czaplica zbladł zwolna i znikł.

Usiadł, czoło dłonią podparł, przymróżył oczy — myślał. Przechodził koleje życia swego. Bardzo młodym nakreślił sobie był plan, ułożył obowiązki, wyznaczył zadanie. Został tem, czem pragnął, miał to, co wówczas za szczęście uważał, stał na szczycie! I nagle zrodziło się nowe pragnienie, podeptało tamte, rozwielmożniło się wszechpotężnie. Chciał posiadać Władkę. Chciał — Czaplic nie pamiętał, by kiedykolwiek chęci nie dopiął, a więc i ta musi być zadowoloną!

Jak? Myśli tysiącami oblegały mu mózg — i znowu, jak za lat młodych, kreślił plan, układał obowiązki, wyznaczał zadanie. Czasem wśród tych myśli obraz jakiś zalewał mu krwią serce i na chude policzki występowały ciemne piętna rumieńca, a źrenice zapalały się zwierzęcemi błyskami szału. Wówczas był strasznym, ohydnym i widać było, że do tej walki najcięższej, a najważniejszej w życiu użyje sił wszystkich, każdego sposobu i cofnie się chyba na skraju grobu, przed potęgą śmierci! Noc mu zeszła w ten sposób, długa, mroźna, hucząca wichrem. Wtór to był dobry do tego, co się w nim działo.

Nazajutrz po południu kazał podać konie — list złowrogi wziął z sobą — ruszył do Grabów. Władka mieszkała tam od aresztowania Świdy. Nie była samą. Obok Świdy, pod Krasną Choiną

padł młody obywatel, sąsiad Grabów. Jedynakiem był u starej matki, którą Moskale wygnali z domu, konfiskując majątek. Władka przygarnęła staruszkę. Była to kobieta spartańskich cnót, w nieszczęściu wyrosła do wielkości owych matek bohaterek, o których mówią rzyskie podania. Surową była zawsze i małomowną, skamieniała po śmierci syna, włosy jej zbielały, twarz nabrała twardych, dzikich konturów. Nie skarżyła się nigdy i nie płakała, a Władka, patrząc na ten spokój, siłą zdobyty — wstydziła się chwil słabości, hartowała duszę na ból, uczyła się znosić bez znaku najsroższe udręczenia.

Na przyjęcie Czaplica wyszedł stary Makarewicz, zczerniały, wychudły, zjedzony troską. Zbladł i cofnął się na widok gościa, rękę podniósł do boku, jakby broni szukał, patrzał z podełba.

— Czego pan potrzebujesz? — zapytał, opierając się plecami o drzwi, do których zmierzał Czaplic.

— Żebyś mnie panience oznajmił, fagasie! — odparł sterdyński pan, z odrobiną gniewu w głosie.

— Panienki nie ma! — odparł strażnik, nie zmieniając postawy — a fagasów, toś pan w Sterdyniu zostawił!

W tejże chwili z przeciwległej strony otwarły się drzwi.

— Ignacy! — rozległ się głos Władki.

Czaplic drgnął. Cały gniew na sługę opadł natychmiast. Obejrzał się. Panna Władysława stała w progu. Delikatna jej postać odziana czarno, wyglądała prawie przeźroczystą; twarz pociągła, blada, zeszczuplała jeszcze, jak gwiazdy świeciły wśród niej myślące, ciemne oczy, zwiększone łzami i troską.

Trzeba było być szatanem, żeby spojrzawszy na nią, ośmielić się rzec choć jedno przykre słowo.

— Proszę pana! — rzekła, wzywając gościa lekkim ukłonem.

Wszedł do jej gabinetu. Jak niegdyś Świda, był raz pierwszy w jej osobistem mieszkaniu, i jak Świda, przychodził po los swój.

Pokoik nawet był podobny — tylko nie było słońca, lata, kwiatów i rozpiętego w krosnach białego orła na purpurze. Wszystko znikło jak sen! Na dworze szalała zadymka, na stole paliło się świec kilka i leżała otwarta książka, na kominku dogasało parę głowien.

— Dobry wieczór, pani! — rzekł Czaplic, wyciągając rękę.

Władka usunęła się o krok, spojrzała mu w oczy.

— Dobry wieczór! — odparła poważnie, nie podając dłoni.

Wskazała mu krzesło i usiadła sama, usuwając książkę.

Siadł. I jemu jak ongi Świdzie brakło słów w myśli, ale ona zachęcała serdecznym wyrazem.

— Tak długo nie miałem wieści, żem się zaniepokoił o zdrowie pani! — ozwał się po dość długiem milczeniu.

— Dziękuję! Nic mi nie brak! — rzekła krótko.

— A jednak, pani zbladła i zeszczuplała. Czy pani myślisz tu stanowczo zamieszkać na stałe?

— O nie. Za parę tygodni opuszczam Graby.

— Pani wyjeżdża daleko? na długo?

— Tak, daleko, i może na zawsze. — Przesunęła rączkę przez

jasne swe włosy i spojrzała na Czaplica. — Rada jestem, że mam sposobność pożegnać się z panem — zaczęła po małej przerwie — i pomówić z nim raz ostatni. Sądzę, że się nie spotkamy więcej za życia!

— Jakto? Co to znaczy? Pani wyjeżdża? istotnie? To być nie może! — zawołał przerażony.

— I pan się dziwi, nie wierzy, pan, co wszystko robił, co mógłby się tak skończyło! — ozwała się gorzko.

— Ja! Życiebym dał, by panią tu zatrzymać!
O pani, nie o takim ja końcu myślałem i myślę!

— Panie Czaplic, dość komedyi! Bądźmy szczerzy dziś! Pan życie całe grał komedyą, dlatego pan, żyjąc lat tyle pod jednym dachem, nie poznał mnie wcale. Nie trzeba było pańskiego życia, by mnie zatrzymać, trzeba było pozostać Polakiem, cierpieć ze mną, kochać ze mną, i walczyć za jedną sprawę! I ja, panie nie myślałam o takim końcu i zgroza mię zdjęła, gdym znalazła w panu oszczepieńca mojej sprawy, zdrajcę mojej Ojczyzny, wroga mojej miłości!

Czaplic głowę zwiesił, gryzł wargi, długo szukał odpowiedzi.

— Pani mnie potępia — zaczął nieśmiało — żebyż świat, ale pani nie! Nie myślałem o sobie! Jam was kochał, szalał za panią — i zdradziłem! Chciałem was ocalić, wywieść jak skarb z ogólnej pożogi...

— To fałsz, panie Czaplic — przerwała mu żywo — to fałsz! Czyś pan mnie kochał, wydając partyą, bratając się z Moskalami, czyś pan mnie kochał, zdradzając setki naszych, szpiegując i donosząc?! To fałsz, pan mnie nie kocha, bo nie pamiętam żadnej radości z pana powodu; a w każdym bólu, w każdem nieszczęściu, czułam pana rękę! Jeśli to się zwie miłością, cóż będzie nosiło nazwę nienawiści?

(Ciąg dalszy nastąpi)

SPRAWY LUDOWE.

Przystanek w Szaflarach. Przy budowie kolei Chabówka-Zakopane pokrzywdzono w sposób okrutnie nieuczciwy gminę Szaflary, tamtejszą parafię i wiele gmin okolicznych. Wybudowano przystanek dla j e d n e g o człowieka, dla obszarnika, a nie zrobiono przystanku dla tysięcy górali, dla proboszcza, dla nauczyciela i t. d. Sprawą zajął się poseł Danielak zaraz, gdy go wybrano posłem Nowotarszczyzny; przedstawił krzywdę, zbadał sprawę na miejscu, no i przed kilku dniami otrzymał od p. Horoszkiewicza, dyrektora kolei wiadomości, że nowz przystanek w Szaflarach, tuż naprzeciw kościoła będzie otwarty jeszczd w ciągu tego lata, prawdopodobnie w lipcu.

Krzywdy w Ptaszkowy. Przed 29 laty podczas budowy kolei pokrzywdzono 12 gospodarzy, Wytoczyli oni proces kolei dwa razy wygrali w sądzie, lecz ministerstwo kolejowe mimo tego krzywdy naprawić nie chciało. Wysyłano skargę po skardze nic nie poma-

gało. Pomimo, że Ptaszkowianie nie głosowali na Dr Danielaka, poseł Danielak sprawą się zajął, krzywdy włościan wykazał ministrowi, przedłożył mu całe sprawy i wyroki sądowe — i wymógł na ministrze, że sprawą się zajął, obecnie ministerstwo odebrało ekta całej tej sprawy do Dyrekcyi kolei w Krakowie. Dr Danielak był u Dyrektora p. Horoszkiewicza i prosił, aby krzywdę popełnioną przed 29 laty, Dyrekcya kolei naprawiła. Dyrektor przyrzekł wziąć gospodarzy w obronę.

Cały lud, i cały kraj domaga się zniesienia myt; tymczasem posłowie tak zwani ludowi, jak n. p. Jan Potoczek, Szajer, Fijak, Wilk i inni **głosowali za utrzymaniem myt**. Niech to sobie lud dobrze zapamięta.

Sejm galicyjski ma być zwołany około 15. czerwca na 4 tygodniową sesyę. Może w lecie nasi stańczyki zechcą pracować na prawdę, gdyż nie ma karnawału i zapust. Gdy Sejm w zimie jest zwołany, to panowie nasi nie mają czasu na pracę, bo muszą grać, tańczyć, chodzić na różne wizyty, bale i rauty. Może teraz w lecie będzie inaczej.

Krzywdy i nadużycia.

Milionerzy krzywdzicielami! W r. 1892 spodobało się żydowskim milionerom, Entmanom, właścicielom kopalń węgla w Jaworzniu, aby swoje dochody z kopalń powiększyli dochodami z rybiu. W tym celu założyli 3 stawy o przestrzeni 20 mórg. Dla zyskania zaś odświeżania wody w tych stawach potrzeba było uzyskać zezwolenie na przepływ rzeczki Byczynki przez stawy, a prawo wodne tej rzeczki należało do młynarza Wincentego Rusińskiego w Dąbie. Zawarło więc gwarectwo jaworznickie, przez swego pełnomocnika Józefa Kinra, z Rusińskim w dniu 10 paźdz. 1892 r. umowę, na mocy której tenże za wynagrodzeniem 200 złr. zezwolił na »bezustanny« przepływ Byczynki przez stawy. Ale cóż się nie dzieje. Żydzi przed zimą wypuszczają wodę ze stawów dla wyłowienia ryb, za które rocznie biorą 3 tysiące złr., a z nastaniem wiosny zamykają przepływ Byczynki dla napełnienia stawów na nowo wodą, co trwa przeszło miesiąc. Skutkiem tego młynarz ponosi straty przeszło 200 złr. rocznie, bo nietylko z braku wody młyn stać musi, ale się i ludzie odstręczają. Obecny właściciel młyna, Ignacy Szklarski, widząc się tak bezprawnie przez żydów krzywdzonym, wniósł zażalenie do c. k. Starostwa w Chrzanowie, prosząc, by go wzięło w opiekę i położyło kres tym nadużyciom żydowskim. Niestety, c. k. Starostwo stanęło po stronie milionerów i odrzuciło zażalenie Szklarskiego jako nieuzasadnione, chociaż w księdze wodnej przy c. k. Starostwie pod *A*) niema wcale uwidocznionej służebności prawa wodnego na rzecz gwarectwa i chociaż w spisanej umowie z W. Rusińskim stoi najwyraźniej, jak »byk«, że on się zgodził tylko na bezustanny przepływ wody przez stawy. Skąd zaś prawnicy c. k. Starostwa

w Chrzanowie czerpali mądrość do swego orzeczenia na niekorzyść Szklarskiego, to w istocie rzecz bardzo ciekawa.

Przeciw orzeczeniu c. k. Starostwa wniósł Szklarski rekurs do c. k. Namiestnictwa 1 września 1901 L. 22743, a następnie sam pojechał 29 stycznia 1902 r. do Lwowa i był na audyencyi u JE. Namiestnika, a potem u odnośnego referenta. JE. Namiestnik przyrzekł w jak najkrótszym czasie sprawę załatwić i nawet zapisał sobie w notesie, a referent zapewnił Szklarskiego, że z końcem lutego będzie miał odpowiedź na rekurs. Tymczasem jest już maj, a c. k. Namiestnictwo milczy, jak grób, a żydzi już 12 kwietnia zatamowali przepływ wody i młyn oczywiście stoi, tylko podatki nie stoją.

Możeby JE. p. Namiestnik raczył sobie przypomnieć przyrzeczenie, a pan referent raczył dotrzymać słowa i raczył załatwić rekurs jeszcze w bieżącym wieku!

W Babicach przy Oświęcimie Kajtochowie Józef i Maryanna nabyli kilka morgów gruntu od gminy mniej więcej przed 14 laty. Jedyny dojazd do tego gruntu prowadzi przez parcele gminne i należy do gminy.

Ponieważ tej drogi używa każdy, kto chce, wedle potrzeby, dlatego też Kajtochowie przy kupnie gruntu, nie przeczuwając, aby z tego względu powstał spór i przykrość dla nich, nie zastrzegli sobie wolnego dojazdu do nabytego gruntu, wnioskując zupełnie słusznie, że kupują nie od żyda, ale od gminy, że droga jest przecież gminna, więc niepodobna, aby im gmina mogła kiedykolwiek zabronić używania tej drogi, zwłaszcza, że jej wszyscy używają i innego dojazdu do tego gruntu niema. Tymczasem zeszłego roku ku wielkiemu zdziwieniu Kajtochów, Urząd gminny zaprzeczył im dalszego używania tej drogi i wystąpił przeciwko nim sądownie, że nie chcą dobrowolnie ustąpić. Oczywiście, że gmina, wytaczając proces o przyznanie własności pomienionej drogi, musiała go wygrać. Ale czy ten proces był potrzebnym i czy to było godziwem narażać Kajtochów na ponoszenie kosztów około 500 koron, to inna rzecz! Powodem tego wystąpienia przeciwko Kajtachom był nie zagrożony interes gminy, ale osobista zemsta na tle politycznym.

Podobno do tego dokuczania Kajtochom najwięcej prze Piotrowski i Kulczyk, bo wójt, człowiek słabego charakteru, daje sobą kręcić, jak szewc kopytem. Na posiedzenia gminne, na których ma być powzięta uchwała na niekorzyść Kajtochów, zwołują ci panowie przysiężni tylko taką większość radnych, która im kiwnie głową na wszystko, co oni powiedzą. Prawdziwie nie chce się wierzyć, aby ten sam Piotrowski, co tak siarczyście piorunuje na zgromadzeniach przeciw krzywdzicielom ludu, we własnej gminie działał na niekorzyść swego sąsiada! Zemstą i szykanowaniem nie zyskuje się przeciwnika politycznego tembardziej, że członkowie stronnictwa chrześcijańsko-ludowego, a do którego p. Piotrowski należy, powinni kierować się względem swych braci włościan z całą miłością, jak to Chrystus nakazuje. Czyż to nie radość dla stańczyków, jak chłop chłopa dusi i suszy? Tak być nie może i nie powinno. My znamy p. Piotrowskiego tylko z do-

brej strony, więc go prosimy, aby się starał całą tę sprawę na drogę ugodową sprowadzić, zwłaszcza, że Kajtochowie płacą dodatki gminne, więc powinni mieć równe prawa z innymi. Wprawdzie wygrała teraz gmina, ale może przegrać, jeśli Kajtochowie oprą się na podstawie ustawy z dnia 7 lipca 1896 L. 140 Dz. pr. p., która powiada, że można żądać w celach prowadzenia gospodarstwa i potrzebnego połączenia z drogą publiczną sądowego wytyczenia drogi koniecznej przez cudze grunta lub przypuszczenia do współposiadania istniejącej cudzej drogi. Ale pocóż paść adwokatów i poco narażać gminę i Kajtochów na koszta? Pamiętajmy, że »zgoda buduje, niezgoda rujnuje!«

Salomonowy wyrok. Niejaki Franciszek Frankiewicz, gospodarz z Dojazdowa pod Krakowem, nabył w roku zeszłym kawałek gruntu od dworu w Łuczanowicach przy drodze t. zw. »Długiej Góry«, wiodącej ku wsi, i chcąc zabezpieczyć ten grunt od szkód, jakie woda spływająca z góry podczas deszczów sprawia, wysadził ten grunt na odległość pół metra od drogi szlachetnemi drzewkami owocowemi, sprowadzonemi od jednej z pierwszych firm ogrodniczych w Krakowie. To widocznie nie przypadło do gustu wójtowi łuczanowickiemu, Janowi Ziębie i sąsiadom Kwaterom, po drugiej stronie drogi mieszkającym. Sprowadzono tedy na miejsce komisyę, złożoną z przedstawicieli gminy i znawców, która nie mogąc nic zarzucić czynowi Franciszka Frankiewicza, orzekła w swej mądrości, że z powodu cienia, przez który Ignacy Kwater będzie co roku ponosił w ziemiopłodach szkodę, zasądza się Franciszka Frankiewicza na zapłacenie taksatorom 3 korony, a wójtowi 1 kor. Jakie odszkodowanie za ziemiopłody utracone, a z powodu tego cienia wynikłe, ma zapłacić Kwaterze Franciszek Frankiewicz, tego ta sławetna rada nie orzekła. Zdaje się, że ten mądry jej wyrok miał jedynie na celu urządzenie komisyi gminnej za jej trudy obfitego »traktamentu«, który też niebawem zaraz po tym wyroku nastąpił i sprawił pomieszanie w głowach i w nogach. Co się tyczy tych 4 koron, to je pewno ta komisya ściągnie na Józefata dolinie.

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA.

Wiedeń, 6 maja zebrały się wspólne delegacye w Peszcie. Minister z wojny ma zażądać od delegacyi nadzwyczajnego kredytu 38 milionów koron na zakupno dział. Te ustawiczne zbrojenia się są największą klęską dla państwa. Boże, dokąd to potrwa, bo lud już ledwie dycha, a tu znów nowe ciężary.

Budapeszt. Obecnie bawi nasz cesarz w stolicy Węgier.

Londyn. Urząd wojenny znów wysyła do Afryki na pole walki 5 tysięcy żołnierzy i 2 tysiące koni, chociaż toczą się układy o zawarciu pokoju.

Transwal. Z Pretoryi donoszą, że przywódzcy Beorów całkiem jawnie i bezstronnie obradują z burgherami w sprawie pokoju.

Dewet oświadczył podobno wyraźnie, że walka obecna jest beznadziejna, i że warunki rządu angielskiego są wielkoduszne (?!) i korzystne. — Delarey ma zamiar przyłączyć się do uchwały większości; rząd orański oświadczył również, że uchwale się podda. Kobiety Boerów z Klerksdorp i zachodniego Transwalu oświadczyły, że w razie, gdyby ich mężowie nie oświadczyli się za pokojem, to one same to uczynią i powrócą do swoich farm.

Obrady Boerów w polu nad warunkami pokoju opisują w sposób następujący: Boerowie siedzą kołem, oparci na karabinach, a pośród nich siedzi przywódzca, który całą rzecz przedstawia zebranym. Następnie zapytuje przewodniczący, czy który z obecnych nie chce zabrać głosu, a wreszcie odbywa się głosowanie.

Zgromadzenia Boerów dotychczas wydały większość korzystną dla pokoju. Można jednak przypuszczać, że nieprzejednani nie dadzą się przekonać mimo wielkodusznych warunków ze strony Anglii.

Chiny. Zaczyna się tu znów powstanie szerzyć. Powstańcy ucięli pewnemu duchownemu głowę i obnosili kilka dni po kraju Chentingan.

Rosya. Wzdłuż całego szlaku krajowego Moskwa-Włodzimierz, który idzie przez najbardziej przemysłową okolicę, wybuchła rewolucya. Liczne i ciągłe walki są staczane między robotnikami a żołnierzami; bardzo dużo zabitych. Pułk ułanów Morozowa nie chciał strzelać do ludu. W Matomzi chłopi doprowadzeni do rozpaczy głodem poczęli się znowu burzyć. Rabują z fabryk ogromne ilości cukru i rzucają w wodę. W Moskwie panuje ogromne wzburzenie robotników.

Kronika i rozmaitości.

Rządy Precliczków, kiedy to każdy lojalny obywatel naszego kraju musiał być pod względem narodowości „galizischer Oesterreicher“, żywo przypominają między innemi pieczątki niektórych naszych poczt. Pytamy, jaki w tem sens, aby pieczątka pocztowa n. p. w Nowym Targu opiewała: „Neu Markt“ u góry, a pod spodem „Nowy Targ“? Dla kogo ten honor, dla kogo to widome znamię panowania języka niemieckiego w Galicyi? Czy dla tych Niemców, których w takim Nowym Targu niema? Pieczątka pocztowa z Nowego i Starego Sącza wygląda taksamo. Niektóre nazwy miast poprzekręcano, gwoli radości nieboszczyków Precliczków. Mamy więc „Jaroslau“ u góry, poniżej „Jarosław“, „Andrychau“ u góry, pod tem dopiero „Andrychów“, a prym w szeregu tych przechrzczonych miast trzyma sławny „Saybusch“! Ciekawe są też pieczątki poczt niektórych małych miasteczek n. p. „Głogówin Galizien — w Galicyi“. Czemu już nie „Glogau“? — Jakby to ładnie brzmiało, jakby to było lojalnie w chwili potężnych wpływów Koła polskiego i polskich rządów w dyrekcyi poczt i telegrafów we Lwowie! W tym czasie właśnie powinna się ludność oduczać barbarzyńskich nazw swych miejscowości, a przy-

zwyczajać do kulturnych. Przecie n. p. „Saybusch“ to tak miło i gładko wpada w polskie ucho!

Litania tych pieczątek poczt galicyjskich jest bardzo długa i w całej swej długości... niedorzeczna. N. p. u góry: „Słotwina bei Brzesko“, na dole: „Słotwina koło Brzeska“; „Radomyśl bei Tarnów“ — „Radomyśl koło Tarnowa“; „Sokołów bei Rzeszów“ — „Sokołów koło Rzeszowa“ i t. d.

Dla kogo — pytamy raz jeszcze — ta niemczyzna?

Zbrodnia w szpitalu dla obłąknych. Jasiek »Sposób« mieszkał sam ze swoją matką. Mieli chałupinę skromną, stodółkę o jednym zastroju, pod jednym dachem z chałupą, trochę drobiu, przychowali czasem wieprzka, gdy uskładali trochę „śrybła“ kupili krowinę, siedzieli cicho, pracowali i nieźle im razem było. Matka tylko nie chciała darować synowi, że się nie ożenił. Możeby i gruntu co wziął za babą, bo swego mieli nie dużo, byłby gospodarzem, jak się patrzy, każdy uszanowałby go, mówiąc mu „wy“ — a teraz oto chłopu minęła czterdziestka i wołają na niego ludzie „Jasiek!“, jak nieprzymierzając na parobka, co dopiero do wojska ma stawać. Ale trudna rada, Jasiek żenić się nie chciał. Od dawnych lat już był taki dziwny. Tylko w różnych robotach, majsterstwach, a muzyce kochał się okrutnie. Bywało, popsuje się komu zegar, przyniesie do „Sposoba“ ten go rozbierze, opatrzy, potem złoży, wysmaruje i zegar idzie doskonale.

Gdzieś tam w mieście poznał się z tokarzem i nieraz wysiadywał u niego i przyglądał się robocie, która też mu się okrutnie podobała. Ta tokarnia nie dawała mu spokoju, aż kupił sobie sam narzędzia i bardzo ładne rzeczy zaczął wyrabiać. Grał też na klarnecie, na harmonii, bywał na weselach — i w ogóle za graniem i śpiewem przepadał. W izbie było pełno klatek z różnem ptactwem, to też zdala już chata jego rozbrzmiewała gwizdem i świergotem, niby gaik zielony.

Chociaż to był niby majster do wszystkiego z tego Jaśka i ludzie przezwali go „Sposobem“, że to sposób zawsze na wszystko znalazł, ale i do polnej roboty chętnie się brał. Gdy swoje zagony obrobił, najmowali go wsiowi gospodarze, a zawet i „zagraniczni“ (tj. z innych wsi) do wszelakiej roboty polnej i do żniwa i do kośby i do kopania ziemniaków. Chociaż owa żeniaczka matkę korciła bo drugi syn był ożeniony i siedział w osobnej chałupie, ale rada była z swego Jaśka i dziękowała Bogu, że od 20 lat „nieszczęście“ go opuściło.

O bo nawiedzało biedaka przed laty wielkie nieszczęście. Jakoś rozum mu się pomieszał; uciekał w pola, w las i gadał z sobą, rozprawiał, wykrzykiwał, ale ludziom nic złego nie robił. Lecz to po pewnym czasie ustało; nieszczęście go opuściło, i żył spokojnie, hodował gile, zięby i kosy, toczył ładne rzeczy, strugał z drzewa figurki, na wiosnę i w lecie chodził na zarobki i — nie pił.

Nie było jednak sądzonem starej kobiecie zażywać dalej spokoju. Pewnego dnia poszedł do miasta do kościoła — i nie wrócił. Ludzie opowiedzieli jej okropną rzecz: rzucił się na księdza przy ołtarzu, lecz go pochwycono, związano, i do aresztów odstawiono. Jak się policyanci z małego miasta, nie wiedzący, że to powód obłędu, lecz sądzący, że zbrodniczy zamach, nad nim pastwili — o tem nikt starej nie mówił. Bo i po co? Ot, nieszczęście, dopust boski... Podobno złamali mu kilka żeber...

Ale koniec powiastki najsmutniejszy i zgoła nieprawdopobny. Odstawiono Jaśka do dużego miasta, rozpoznano, że to choroba. nie zbrodnia usiłowana, umieszczono w krajowej lecznicy, gdzie przecież »opieka lekarska na zawołanie«, gdzie chorych się leczy, bóle uśmierza, uzdrawia — i tam trzeciego dnia Jasiek był już »gotów«. Zakatowali go na śmierć posługacze.

Jasiek „Sposób“ — to jest Jan Krawczyk z Kuźnic pod Wieliczką, to jego autentyczne przezwisko, używane we wsi, a »powiastka« — to jego życie, przedstawione według opowiadań włościan, co go znali od wielu lat. Epilog rozegrał się przed kilku dniami przed trybunałem sądowym w Krakowie.

Żywcem pogrzebana. We Francyi budzi ogólne zainteresowanie proces, którego koniec rozgrywa się przed sądem. Jeszcze w r. 1899 wylądował w Panillac we Francyi okręt, na którego pokładzie znajdowała się niejaka pani Bobin, przybyła z Senegalu, a udająca się do Bordaux — była chorą i spodziewała się wkrótce zostać matką. Służba sanitarna, oczekująca na brzegu, pomimo zapewnień doktora okrętowego, że pani Bobin nie ma ani żółtej febry, ani żadnej zaraźliwej choroby, poleciła jej odbyć czterodniową kwarantannę i rozkazała umieścić ją w szpitalu w Trompelonji. Tam, podług relacji rodziny, pani Bobin traktowaną była bez żadnych względów; oświadczono jej bez ogródek, że znajduje się pod obserwacyą z powodu żółtej febry i tak mało zachowywali z nią ostrożności, że popadła w omdlenie. Nie zastosowano żadnego środka, by ją przyprowadzić do przytomności, a gdy nadeszła przewidywana w jej stanie krytyczna chwila, lekarz szpitalny odszedł, nie troszcząc się zupełnie o pacyentkę. Brakowało też instrumentów, które były nieodzowne, by zrobić odpowiednią operacyę i uratować chorą, która dogorywała, a nikt się nią nie zajmował. Nazajutrz złożono panią Bobin do trumny mimo pewnych powodów, że dziecko znajduje się przy życiu.

Oto jest treść oskarzenia rodziny, która otrzymała pozwolenie na otworzenie trumny. Gdy otworzono trumnę przekonano się, że dziecko urodziło się w grobie, a biedna kobieta nie miała ani żółtej febry, ani żadnej epidemicznej choroby. Na skutek skargi ojca zmarłej p. Maskaras, prokurator zarządał dochodzenia sądowego za zabójstwo przez niedbalstwo i nieostrożność, p. Mascaras zaś pozwał przed trybunał cywilny w Lesparre naczelnego doktora służby senitarnej, lekarza ordynującego w szpitalu i w końcu państwo, jako odpowiedzialne za nieporządki w szpitalu — żąda też odszkodowania w sumie 200.000 fr. Trybunał w Lesparre uznał się niekompetentnym, co do odpowiedzialności państwa, co zaś do lekarzy, ci odpowiadać mają z tytułu swego zawodu, a nie jako urzędnicy publiczni. Ostatecznie proces przeszedł do wyższej instancyi, która w tej smutnej sprawie wyda swój wyrok.

Z targów zbożowych. Kraków, dnia 29 kwietnia. Płacono za 100 kilogr. netto Pszenica od 20·50 do 20·85; — Żyto od 15·52 do 16·—; — Jęczmień od 14.— do 15·50; — Owies z opłatą akcyzową od 17·20 do 18·—; — Groch od 18·—· do 26·—; — Tatarka od 14·— do 18·—; — Proso od 10·— do 11·50; — Fasola od 14·— do 16·—; — Jagły od 18·— do 24·—; Siano od 6·80 do 7·20; — Słoma od 4·— do 4·60; — Koniczyna na paszę od 7·20 do 7·60; — Ziemniaki za hektolitr od 3·20 do 3·60; — Jaja za kopę od 2.20 do 2.60; — Masła za garniec od 7·30 do 8·30. Wszystko liczono w koronach.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Gócwa. Służący Michalik niech sam wniesie skargę do c. k. Prokuratoryi Państwa w Nowym Sączu z tego powodu, że go trzymano przez całą noc w zamknięciu w komórce pełnej smrodu. Zamykać przemocą nikogo nie wolno. Za ten występek muszą być ukarani. Trzeba podać świadków i wyraźnie powie-

dzieć, kto go trzymał a kto zamykał. A p. Gucwa niech zrobi zażalenie do pana Namiestnika. Wszystko dokładnie opisać i posłać za recepisem wprost na ręce Namiestnika we Lwowie.

W. Ks. Wójcik. Otrzymaliśmy prenumeratę na Obronę dla W. Ks. Dobr. i dla Ojca, wysłaliśmy więc te dwa egzemplarze, ponieważ Ojciec nadeslal akże należytość prenumeracyjną, posyłamy mu dwa egzempl., a wskutek ostatniej korespondentki idą do Bielin 3 egz. Obrony. Życzymy jak najprędszego wyzdrowienia!

P. Stanisław Szewc. Prenumeraty na rok 1902 nie otrzymaliśmy. Jeżeliś Pan pieniądze nadał, to prosimy przysłać recepis, a będziemy dochodzić, gdzie się pieniądze podziały. Brakujące numera wysłano.

Za ogłoszenia nie bierze Redakcya żadnej odpowiedzialności.

Wydawca: **Franciszek Ptak.** — Redaktor odpowiedzialny: **Władysław Jaśko.** — Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego.